

W **Oslo** byliśmy raz - dokładnie w dzień zamachu Breivika! - ale to było latem i na kilka dni, w odwiedzinach u rodziny. Zwiedziliśmy skansen, muzeum statku Wikingów, muzeum Kon Tiki, muzeum Muncha, nową operę (w środku) i skocznię narciarską, a nawet dom Roalda Amundsena. Tym razem wystarczy czasu tylko na szybką powtórkę spaceru po centrum, ale dobre i to. Z lotniska do miasta jeździ szybki pociąg. Podczas kilkugodzinnego spaceru można zobaczyć główne atrakcje Oslo, ale na dogłębne zwiedzanie nie ma czasu.

Z dworca idziemy więc do centrum reprezentacyjną ulicą Karl Johans gate, która ciągnie się aż do pałacu królewskiego. Pierwsze w oczy rzucają się XIX-wieczne podcienia w stylu neoromańskim, mieszczące oryginalnie kramy rzeźników. Nieco wyższy budynek z wieżą to pierwsza w Oslo remiza straży pożarnej. W międzywojniu, niemodne już budynki planowano rozebrać, ale ponieważ w czasie wojny spодobały się Niemcom, przetrwały do czasu, aż gusta się zmieniły. Dzisiaj są odnowione i rewitalizowane, mieszczą sklepy i restauracje.

Tuż obok znajduje się katedra, która jest jednocześnie luterńska i barokowa, co samo w sobie brzmi schizofrenicznie. Warto zwrócić uwagę na organy, ambonę i ołtarze, ale główną dumą katedry jest sklepienie ozdobione modernistycznymi malowidłami przez Hugo Mohra w latach 1937-1950. Malowidła mają 1500 metrów kwadratowych powierzchni, co czyni plafon największym tego typu dziełem sztuki w Norwegii i jednym z większych w Europie. W apsydach znajdują się trzy przedstawienia Chrystusa: w pozycji stwórcy (w trzech osobach), zwycięskiego władcy (tłukącego krzyżem smoka) i podczas chrztu (co wygląda jak kąpiel pod wodospadem). Pojawia się również motyw "drzewa życia". We wschodniej nawie (stanowiącej chór kościoła) wykorzystane są motywy ze Starego Testamentu, w północnej - sceny z życia Chrystusa, a w południowej (po prawej stronie) - z historii Kościoła. Od strony organów widać postacie czterech ewangelistów i czterech proroków. Witraże wykonał Emanuel Vigeland, młodszy brat rzeźbiarza Gustava. Katedra służy do różnych rodzinnych i państwowych ceremonii norweskiej rodzinie królewskiej.

Następnie mijamy budynek parlamentu (*Stortinget*) z 1866 roku, z charakterystyczną centralną rotundą mieszczącą salę obrad. Następny jest dziewiętnastowieczny Teatr Narodowy. I tak dochodzimy do dużego, klasycystycznego pałacu królewskiego. Rezydencja położona jest na wzgórzu, z wyglądu przypomina nieco londyński pałac Buckingham - główną różnicą jest to, że w Norwegii nie ma żadnego ogrodzenia. Ok. 13.30 można

trafić na zmianę warty. Również przypałacowy park dostępny jest dla mieszkańców i zwiedzających - tylko, że w końcu stycznia zupełnie nie nastraja do spacerów. Przed pałacem stoi duży konny pomnik króla Karola III Jana - znanego w innych szerokościach geograficznych jako Karol XIV Jan (Szwecja) oraz Jean Baptiste Bernadotte (wszędzie indziej). W parku znaleźć można kilka innych pomników, w tym dwa dłuta Gustava Vigelanda, przedstawiające pisarkę Camillę Collett i matematyka Nielsa Henrika Abela (który zmarł młodo na gruźlicę i raczej nie przypominał nagiego herosa depczącego demony). Jest też aktualna królowa Sonja (żona panującego króla Haralda V), jako "pani w trampkach i z plecaczkiem" siedząca na kamieniu.

Pozostawiwszy za sobą pałac królewski dochodzimy do kościoła Uranienborg. Przyjemny neogotyk z witrażami Emanuela Vigelanda<sup>1</sup>. Wokół luksusowe kamienice, albo wręcz pałace - okolica jest wyraźnie zamożna, i to od dawna. Wreszcie zbliżamy się do głównej atrakcji dnia, czyli parku Frogner. Jest to w zasadzie galeria rzeźby na świeżym powietrzu, mieszcząca ponad 200 dzieł Gustava Vigelanda (1869-1943). W latach 20. XX wieku artysta podarował miastu swoje dzieła w zamian za pracownię i miejsce do życia, dzięki czemu powstała wyjątkowa kolekcja, dostępna swobodnie dla publiczności. Rzeźby - stylistycznie mieszczące się gdzieś pomiędzy secesją a symbolizmem - wykonane są z kamienia lub brązu, można też zobaczyć panele metaloplastyczne i płaskorzeźby. Najważniejsze części parku to Most, Fontanna, Monolit i Koło Życia. Most zdobi 58 brązowych figur przedstawiających ludzi w różnym wieku i reprezentujących różne stany emocjonalne. Najśłynniejszy z nich wszystkich jest zapewne "Wściekły Niemowlak" (są też inne niemowlaki, np. śmiejący się i zaniepokojony). Znajdująca się za mostem Fontanna to najwcześniejsze dzieło Vigelanda umieszczone w parku. W jej centrum sześciu gigantów podtrzymuje misę, z której przelewa się woda. Na obrzeżu czworokątnego basenu znajdują się grupy symbolizujące związek człowieka z naturą. Całość otaczają czarno-białe płytki ułożone we wzór labiryntu. Centralnym punktem parku jest 17-metrowy Monolit w formie granitowej kolumny złożonej z masy splecionych ludzkich ciał. Prowadzą do niej kamienne schody ozdobione kolejnymi rzeźbami; przewijają się motywy cyklu życia ludzkiego, różnorodności wzajemnych relacji (miłość, pożądanie, walka, troska, pomoc itp.), czyli, generalnie mówiąc: "I tak w życiu ludzkim". Na koniec dochodzi się do wykonanego z brązu Koła Życia, znów złożonego ze splecionych postaci.

---

<sup>1</sup> Zamknięty na głucho. I tak jakimś innym razem trzeba będzie się wybrać zobaczyć jego mauzoleum-muzeum położone dalej od centrum, bo na zdjęciach wygląda niesamowicie.

Oglądać i fotografować rzeźby można praktycznie bez końca - warto też poszukać różnych ciekawostek i niecodziennych motywów. Zaskakuje na przykład posąg, na którym mężczyzna z brązu rozrzuca atakujące (?) go niemowlaki (pomnik antykoncepcji?). Albo inny, przedstawiający kobietę obściskującą się ze smokiem (?) - lub małe dzieci jadące na grzbiecie kobiety jak na koniu.

Wracając na dworzec, rzucamy okiem na modernistyczny ratusz z czerwonej cegły, z dwiema wielkimi wieżami. Zamyśł budowy nowego ratusza powstał jeszcze w czasach, gdy Oslo było Christianią, bo stary, XVII-wieczny (wciąż stoi w pobliżu twierdzy Akershus, mieści się w nim obecnie restauracja) ma rozmiar psiej budy. Realizację projektu rozpoczęto w roku 1930, gdy funkcjonalizm przeżywał swoje najlepsze lata, budowę przerwała wojna, i gdy ją wreszcie ukończono (w 1950 roku), modne zaczynało być szkło i aluminium. Tym niemniej mieszkańcy przyzwyczaili się do ceglanej bryły, która kojarzy im się z trzema blokami brązowego sera (*brunost*).

Co roku w grudniu odbywa się w nowym ratuszu uroczystość wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla. Można - za darmo, tylko po przejściu "lotniskowych" bramek - wejść do środka i zobaczyć efektowne dekoracje. W jednej z sal wisi duży obraz Edvarda Muncha "Życie". Wiele ścian zdobią monumentalne freski przedstawiające historię i życie miasta. Na piętrze znajduje się wyłożona dębową boazerią sala obrad rady miejskiej (*Bystyresalen*) ozdobiona gobelinami, z których najważniejszy i największy przedstawia św. Hallvarda (patrona miasta) w otoczeniu siedmiu cnót.

Twierdza Akershus broniła wejścia do portu w Oslo. Przetrwała wiele oblężeń (głównie szwedzkich) i nigdy nie została zdobyta; nawet podczas drugiej wojny światowej Niemcy uzyskali ją dopiero po kapitulacji Norwegii. My oglądamy ją z drugiego brzegu, od rewitalizowanego portu Aker Brygge. Na sam koniec wycieczki została nam już tylko nowa opera, oddana do użytku w 2008 roku.

**Chicago** to w dużym stopniu powtórka [samodzielnego zwiedzania Doroty](#): parki na wybrzeżu jeziora Michigan z malowniczymi fontannami, wieżowce (w tym zabytkowe) i inna miejska architektura, trasa spacerowa wzdłuż rzeki (o nazwie Chicago River) - tyle że nie w letnim upale, ale w zimowym mrozie. Z atrakcji pod dachem dwa muzea: rezydencja Nickersonów z przełomu XIX i XX wieku (obecnie The Driehaus Museum) oraz Art Institute of Chicago - jedno z najciekawszych muzeów sztuki w USA.

Z parków miejskich przy temperaturze w okolicach zera (plus wietrze przypominającym, że Chicago nazywane bywa "Wietrznym Miastem") raczej się nie skorzysta - roślinność się pochowała, a fontanny zakręcono. Spacerowanie wymaga co najmniej czapki i szalika. Za to muzea - super! Po Instytucie Sztuki (*Art Institute of Chicago*) drepczemy przez 4 godziny, a i tak nie wystarczyło siły na wszystko (sztuka Dalekiego Wschodu i Afryki została jedynie muśnięta wzrokiem). A propos Afryki, w dziale sztuki nowoczesnej wielka wystawa czasowa poświęcona przewagom twórczości Afro-Amerykanów; artyści i ich dzieła dobrani pod kątem przynależności rasowej. Wśród "pilnowaczy" w salach w całym muzeum nie uświadczymy się ani jednej bladej twarzy - co raczej nie jest przypadkowe biorąc pod uwagę przekrój społeczeństwa.

Trudno zresztą znaleźć jakąś wygrywającą strategię na duże muzea - po pierwsze, gdzieś w okolicy czwartej godziny następuje "śmierć mózgowa", czyli po prostu przestaje się przyswajać. Po drugie, dreptactwo (człap, człap, stajemy, człap, człap, stajemy, i *tak da capo al fine, poco a poco pesante*) wiele bardziej męczy fizycznie niż normalny spacer. Owszem, muzea to wiedzą, bo w co większych salach umieszczone są ławeczki, ale pomaga to chwilowo na zmęczenie fizyczne, głowa się nie odświeża. W Chicago pomaga to, że co i raz trafiamy na coś bardzo, ale to bardzo znanego, więc co chwila strzyka adrenaliną (coś w stylu uczucia znanego grzybiarzom lub innym kolekcjonerom).

Całkiem niedawno zmarły Richard H. Driehaus był bogatym finansistą (oksymoron - czy istnieją biedni, albo przynajmniej niezamożni finansiści?), który ulokował swój majątek w zakup i renowację wybudowanego w roku 1883 domu będącego rezydencją bankiera, Samuela Nickersona i jego żony Matyldy. Po śmierci Nickersonów dom przechodził z rąk do rąk, aż w roku 1919 grupa zamożnych obywateli miasta (na liście pojawiają się nazwiska Wrigley, Rockefeller, McCormick) wykupiła budynek i przekazała w użytkowanie założonemu kilka lat wcześniej stowarzyszeniu zawodowemu chirurgów (*American College of Surgeons*). Stowarzyszenie użytkowało budynek w charakterze swojego biura, a na miejscu wyburzonej powozowni Nickersonów zbudowało audytorium dla zebrań, odczytów i wykładów. Organizowano tam również koncerty.

W latach 60 ubiegłego wieku stowarzyszenie przeniosło się do większej siedziby kilkaset metrów dalej, a rezydencję Nickersonów wynajmowano na

przeróżne imprezy wymagające luksusowej scenografii. Aż wreszcie, w roku 2003 Driehaus kupił dom z przeznaczeniem na muzeum i po pięcioletnim remoncie udostępnił do zwiedzania. Niewiele zostało z oryginalnego wyposażenia - Nickerson przed śmiercią przekazał je na rzecz *Art Institute of Chicago* (którego powstania był zresztą inicjatorem), więc cały wystrój wnętrza to eksponaty z kolekcji Driehausa, odtwarzające bardzo wiernie klimat amerykańskiego Gilded Age (lampy Tiffany'ego, meble i boazeria z dębu oraz hebanu, rzeźby, obrazy nawiązujące do nurtu prerafaelitów). Szczególnie wrażenie robi galeria z witrażową kopułą, dodaną już po śmierci Nickersonów. W roku 2022, muzeum zakupiło sąsiadujący budynek audytorium, i po dwuletnim remoncie udostępniło do zwiedzania łącznie z muzeum.

Główną atrakcją niedzieli był 90-minutowy rejs łódką po rzece z komentarzem na żywo. Przewodnik w sposób bardzo ciekawy omawiał mijane budynki, zarówno pod kątem ich historii, jak i architektury. Trudno nie zmarznąć siedząc na odkrytym pokładzie w początku lutego, ale wspomagaliśmy się kawą po irlandzku, hojnie serwowaną przez barmana.

Skosztowaliśmy gastronomicznej specjalności Chicago, czyli "deep dish pizza" - pizzy o podwyższonych brzegach, napchanej dodatkami (głównie serem) jak tarta. Smaczna, ale nie daliśmy rady zjeść wspólnie nawet średniej i dojadaliśmy ją potem w hotelu nocą na "jetlagowy podkurek". W ogóle to już zapomnieliśmy, że w USA porcje wszystkiego są dużo za duże. Co jest niewielką pociągą wobec obyczaju podawania cen netto oraz coraz większych "obowiązkowych" napiwków.

A jutro skoro świt zmieniamy klimat i rozpoczynamy ciepłą część naszej podróży. Do Chicago wrócimy na jeden dzień za dwa tygodnie.